

A gdy już Ziemię stworzyłem...

Byłem bardzo samotny i miałem już dość tych ciemności. Spojrzałem na moje ręce, uniosłem je w górę. Wewnątrz mnie nagromadziło się tak wiele dobra i miłości, że zaczęła się ona wylewać na zewnątrz. W wielkim wysiłku począłem stwarzać. Tak powstała Ziemia- moja ulubiona zielona planeta. Dlaczego ją tak kocham? Mieszka tam ukochana przeze mnie istota, której dałem swój obraz, kształt, rozum i wolną wolę. Dostarcza mi ona wiele radości, lecz jeszcze więcej bólu.

Na niebie płonie ogromna kula, gwiazda, zmieniająca wodór w hel, dająca światło i ciepło. Ludzie nazwali ją Słońce. Doceniali ją od zawsze, wiedzieli, że bez niej zginą. Czuli, że ich świat ma swojego opiekuna, który jest silny i pozwala im żyć. Tak nazwali Słońce moim imieniem i zaczęli je czcić. Stałem się Światłością.

Moje dziecko- człowiek zaczął się rozwijać. Zrzucił skóry z upolowanych zwierząt, założył ubrania bawełniane, lniane, jedwabne, wełniane. Nauczył się rozpalać ogień i nie jadł już surowego mięsa. Spoglądał w niebo z takim szacunkiem i bojaźnią, że nie mogłem mu nie sprzyjać. Dawałem mu wszystko, gdy był mi posłuszny, a moje wszystko znaczy szczęście. Wiem bowiem, iż ludzie nie potrzebują być piękni, potężni czy mądrzy- pragną tylko miłości i radości. Przygotowałem dla nich miejsce, gdzie im niczego nie braknie. Ja tam jestem- studnia- i czekam. Nazwali to miejsce rajem. Mój człowiek skonstruował silnik, zarówno a chwilę później rozdzielił atom. Stałem się dumny.

W monecie gdy powstał człowiek, z tych pierwotnych, lejących ciemności wyszło Zło i od tamtego czasu zabiera mi ludzi. Wtargnęło do mojego istnienia i wypowiedziało mi wojnę. Kazało się nazywać Smok. Wydobyło za sobą fałszywe szczęście i korzystając z tego, że człowiek poznaje wszystko przez stworzone przeze mnie zmysły, wmawia ludziom, że nie istnieję, jestem zbędny. Tak ludzie zauważyli, że Słońce to gazowa kula i przestali się modlić. Widząc to zgasilem im Słońce. Oni jednak podnieśli ceny za prąd elektryczny i żyli sobie dalej. Gdy na powrót zapaliłem im Słońce, obniżyli cenę prądu elektrycznego, jakby nic się nie zdarzyło. Stałem się niepotrzebny.

Ciągle kochając człowieka otoczyłem Ziemię chmurą, aby żadna kometa nie zakłóciła jej obrotów. Oni jednak stwierdzili, że chmura nie pasuje do zieloności planety i zasłania księżyc, więc wysłali swoje rakiety, które zniszczyły moją chmurę. Przyszedłem wtedy do jednego z nich i powiedziałem mu, aby ogłosił moją miłość, upomniał ludzi, bo jeśli nie zmienią swojego postępowania, ukarzę ich. Oni jednak zabili go i powiesili jego głowę na krzewie, podpalili go, mówiąc: „Jeśli spłonie to nie była prawda”. Pozwoliłem, znów był smutny. Potem dałem mu góry. Wspinał się trochę, lecz znudziło mu się. Spełniając jego zachcianki, spostrzegłem, że człowiek nie może doznać zaspokojenia. Jadł co dnia, lecz co dnia znów był głodny, nie lubił robić czegoś za długo. Tak zrozumiałem. Stałem się sytością.

Ludzie mają wiele problemów. Począwszy od wyglądu, przez obawę o posadę, dzieci, aż po strach o życie, nieustannie czymś się trwożą. Boją się także ciemności, lecz jeszcze bardziej lękają się z nich wyjść. Dlatego dałem im niegasnącą świecę, aby rozświetlała wszelkie mroki. Oni jednak stwierdzili, że gdy jest ciemno i nic nie widać, nie trzeba się wstydić. Schowali głęboko mój dar. Żyli tak bezmyślni wiele lat. Zauważyli, że świeca nie przestaje świecić, zaczęli zastanawiać się dlaczego. Wtedy przybył Smok i nakłaniał ich, aby zgasili płomień. Wzięli wiadro z wodą i polali po świecy. Ogień jednak nadal dawał mocne światło. Włożyli świecę do pomieszczenia, w którym nie ma tlenu, myśląc, że płomień umrze z głodu. Ja je karmiłem, więc przetrwały, a nawet dały blask mocniejszy. Spostrzegli cud i wyciągnęli świecę. Smok widząc to, przeinaczył moją wolę i pozbawił ludzi skromności. Tak ani jasność, ani tłum, ni świętości nie miały dla nich znaczenia. Zgasilem świecę, zostawiłem ją na czasy, w których ludzie zrozumieją jej znaczenie. Ludzie bowiem jak owoc, nim będzie słodki i pełny, musi długo dojrzewać w blasku słońca. Cierpliwie czekam, aż rasa ludzka wreszcie wydorze się. Stałem się nadzieją.

Stałem raz na brzegu morza i wpatrywałem się, próbując znaleźć linię horyzontu. Podeszło wtedy do mnie dziecko. Dziewczynka złapała mnie za rękę i wyznała, że jest bardzo smutna. Spytałem ją dlaczego. Mówiła, że nikt jej nie rozumie, w domu ma niemiłą atmosferę i jest jej źle na Ziemi. Pocieszyłem ją. Z ogromną szczerością powiedziała mi, iż jestem dobry i ufa mi. Dałem jej gałązkę, poleciłem żeby wsadziła ją do ziemi, a gdy zje pierwszy owoc z wyrosłego drzewa, będzie najszczęśliwsza na świecie. Pocałowała mnie i oznajmiła, że zawsze będzie mi wierna. Uradował się mój duch. Stałem się wszystkim.